EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 6 sierpnia 1933 R. — NR. 32 (45)

Pierwszy warunek

Biała klęska

Zaraza w Grenadzie

Reportaż Zespołu Literackiego „Przedmieście"

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy.
Najnowsze książki. Listy do „Epoki".

AUTORZY: Rawski. Derenicz. Wasowski. Oborski. Boguszewska. Kornacki.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

»OJCZE NASZ«

Tygodnik francuski *Le Monde* zamieścił wstrząsające opowiadanie jednej z ofiar terroru, uwięzionej przez hitlerowców, a obecnie przebywającej w Paryżu. Przytaczamy urywki tragicznej opowieści:

„Noc spędziliśmy na podwórcu koszarowym. O świcie zjawił się komendant regimentu w otoczeniu kilkunastu podwładnych. Wślad za nim, jak cień — kroczył krępy podoficer. Gdy zwierzchnik krzyczał, podoficer stukał obcasami i — jak echo — powtarzał okrzyk.

...„Uformowano nas w czworobok. Komendant stanął w środku. Krzyknął: „Ręce do góry!" Podoficer powtórzył — „Ręce do góry!" Potem: „Złożyć dłonie! Modlitwa!" Opornych, których ręce zwisały, zmuszono siłą do modlitewnej pozycji dłoni. Od uderzeń pałką ręce stawały się czerwone i błękitne. Ramiona Pawła wyglądały, jak kawał krwawego mięsa.

„Komendant rozpoczął: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie"... a podoficer kontynuował — Święć się imię Twoje!" W szeregach czworoboku słyszałem tylko niewyraźne pomruki. I dalej: „Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja. Jako w niebie, tak i na ziemi"...

„Nagle rozległ się w moim szeregu śpiew Alfreda, skarbnika Związku Wolnomyślicieli: „Powstańcie skazani..." Nagła, śmiertelna cisza otoczyła tę pieśń. Zbiliśmy się w ciaśniejszą gromadę. Nasze gardła są tak wyschnięte, że wkrótce śpiew się urywa. Zapada zupełna cisza, którą zakłócają za chwilę odgłosy tępych, ciężkich uderzeń. W głowę, w brzuch, w plecy, w czoło.

„Znów rozkaz: „Złożyć dłonie!" Ręce mego sąsiada kurczowo drżą, łączy je tak mocno, że słyszę trzask kości.

Coraz szybciej padają świszczące słowa: „Chleba naszego powszedniego..." W szeregu głuche pomruki, przerywane często ciosami pałek. Żołnierz uderza Pawła, w pierś, której nie okrywają złożone dłonie. Paweł pada na mnie. Skupiamy się coraz ciaśniej. Alfred znów rozpoczyna: „Powstańcie..." Kopnięcie nogą zamyka mu usta. Komendant kontynuuje modlitwę: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"... Ktoś wybuchnał obłąkanym śmiechem. „Amen, amen!" — ryknął oficer. Rzucono się na nas, bito pałkami. kastetami, deptano nasze ciała.. Alfred jeszcze wielekroć rozpoczynał swój buntowniczy śpiew. Wkońcu — z ust jego płynęła tylko krew".

»RADOSNA NOWINA«

Rzadko bije wielki dzwon na paryskiej Nôtre Dame. Od czasu śmierci marsz. Focha nie słyszeli go paryżanie. Nagle dnia pewnego o godz. 10 rano zabrzmiały potężne dźwięki dzwonu, aby obwieścić stolicy Francji „radosną nowinę" podaną przez *camelots du Roi* w formie manifestu:

„Wielki dzwon Nôtre Dame w ciągu stuleci naszej historji rozbrzmiewał przy urodzeniu każdego delfina Francji. Właśnie dziś narodził się na wygnaniu młody książę, syn hrabiostwa Paryża, wnuka księcia de Guise, następca Henryka IV, św. Ludwika i Hugona Capeta. Wierny tradycji, bił dziś wielki dzwon na cześć nowonarodzonego delfina, Henryka, nadziei Francji".

Okazało się, iż pewien *camelot du Roi* zakradł się na dzwonnicę i na własną rękę „obwieścił światu" narodziny nowego pretendenta do tronu Francji.

Action Française, komunikując o tem „wiernym poddanym", nadmienia: „Delfin, Henryk Francuski, został poraz wtóry ojcem. Narodził mu się syn, który kontynuować będzie dynastję, uwieńczy oczekiwania wiernego ludu i wzmocni nadzieje na przyszłość."

PROLETARJAT INTELEKTUALNY

Były premjer francuski, Edward Herriot, pisze w tygodniku paryskim *Marianne:*

„Profesorowie z Aleppo sygnalizują niebezpieczeństwo powiększenia na Wschodzie liczby nauczycieli i tworzenia umysłowego proletarjatu. To samo dzieje się wszędzie. Kształcimy zbyt wielu adwokatów i lekarzy, którzy nie znajdą klijenteli.

„Dziennik *L'Oeuvre*, oświadczył na podstawie specjalnej ankiety, że Niemcy w r. 1940 liczy będą 200 tysięcy bezrobotnych z uniwersyteckiem wykształceniem. W. Hiszpanji minister Fernando de los Rios złożył w parlamencie projekt ograniczenia nadmiernej liczby studentów. Na Węgrzech Izba Adwokacka żąda *numerus clausus*. „Informator Uniwersytecki" streszcza sprawozdanie Komisarza Oświecenia p. F. K. Clark'a, które ustala groźną progresję zapisów na uczelnie hinduskie: 55 tys. w 1916, 79 tys. w 1926, 93 tys. w 1928. Minister bułgarski Boyadjiev zwołał specjalną konferencję dla przedyskutowania sprawy nadmiernego wzrostu liczby studentów. Tak tedy formuje się we wszystkich narodach *proletarjat intelektualny*, groźny nietylko dla młodych ofiar braku pracy, lecz i dla samych państw".

...„Problem nie traci nic na swej ostrości we Francji. Wiele ankiet i danych ujawnia niepokojący charakter zjawiska. Np. w r. 1929 liczba zgłoszeń dyplomantów do biur pośrednictwa pracy była bardzo nikła, prawie żadna.

— W r. 1932 biura, znajdujące się jedynie w obrębie departamentu Sekwany — zanotowały zgórą 5.000 zgłoszeń...

„Jednem z dziedzictw XIX wieku jest szybki rozwój nauczania wyższego. Francja liczy w r. 1814-ym — 4 tysiące studentów, a w r. 1869-ym — 9,5 tys. W r. 1896-ym — przekracza 27 tysięcy. Trzecia Republika spowodowała wspaniałe rozprzestrzenienie kultury. Od Wielkiej Wojny, naprzekór twierdzeniom o materjalizmie współczesnej młodzieży, goniącej za szybkim zyskiem — postęp cyfr rychło się ujawnia: w r. 1919-20-ym — 40 tys. studentów francuskich i 5 tys. studentów cudzoziemców, w 1931-32-ym — 66 tys. Francuzów i 16 tys. cudzoziemców.

...„Już w r. 1898 w studjum, opublikowanem przez „Revue de Revues" p. Henryk Berenger wskazywał na formowanie się umysłowego proletarjatu, którego los tak żywo nas dziś niepokoi. Bismark puścił kiedyś w obieg termin — proletarjat nauczycielski. Dziś coraz dowodniej przekonywamy się o niemożności wykorzystania wszystkich dyplomów.

Słowem: liczba kandydatów coraz bardziej wzrasta, liczba miejsc pracy coraz szybciej maleje.

...„Wszechstronne oświetlenie problemu wymagałoby długich i szczegółowych badań, któremi powinno zająć się Ministerstwo Oświecenia w porozumieniu z Konfederacją Pracowników Umysłowych, z Narodowym Związkiem Studentów, z zrzeszeniami adwokatów, lekarzy, inżynierów.

„Nie można wypuszczać w życie młodych ludzi — mężczyzn i kobiet uposażonych w tytuły, bez możności wykorzystania ich wiedzy!"

UPRAGNIONE WIĘZIENIE

Podczas procesu w Wadowicach (wytoczonym członkom Związku Hallerczyków i Obozu Wielkiej Polski za wywołanie rozruchów antyżydowskich) zeznawał niejaki Józef Kuś. Nie należy on ani do Związku Hallerczyków, ani do O.W.P. Jest członkiem P.P.S.

Oto urywek tych zeznań:

Przewodniczący: — Powiedział pan w śledztwie, że brał pan udział w ekscesach. Więc jest to nieprawda?

Oskarżony: — Nieprawda.

Przew.: — A dlaczego tak pan zeznał?

Osk.: — Jestem nędrzarzem. Nie mam nawet porządnych spodni, a na zeznanie przyszedłem w pożyczonych. Dokuczał mi głód, a żona i dzieci narzekały. Dłużej znieść tego nie mogłem. Myślę sobie: obwinię siebie, pójdę do więzienia, będę miał co jeść i nie będę słyszał lamentów żony i dzieci.

NOWA GRUPA LITERACKA

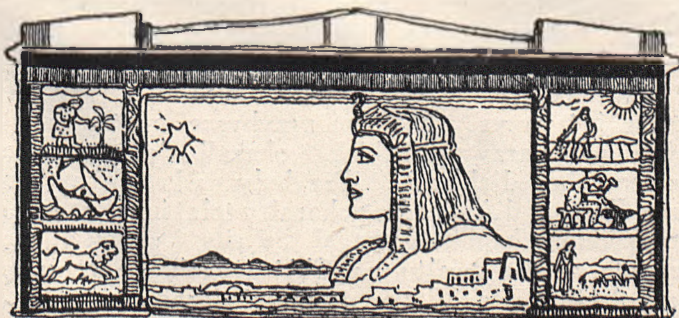
Powstał w Warszawie Zespół Literacki „Przedmieście". Zespół ten ma na celu stworzenie zbiorowego warsztatu pracy literackiej i wywalczenie sobie zarówno swojej własnej metody, jak i nowych form zbiorowego tworzenia.

Terenem pracy literackiej Zespołu są przedmieścia miast polskich, a wynikiem tej pracy będzie wydawnictwo *Przedmieście Polski*. Wydawnictwo to obejmować będzie szereg reportaży, opisów, utworów nowelistycznych i t. d., odtwarzających wszystkie dziedziny życia ludzkiego na przedmieściu.

Praca literacka każdego z członków Zespołu opierać się będzie przedewszystkiem na obserwacji własnej, przyczem szczególną troską, niejako obowiązkiem autora będzie wierne zachowanie wrodzonej wymowy oglądanych przezeń zjawisk.

Założycielami Zespołu Literackiego „Przedmieście" są: Helena Boguszewska, Jerzy Kornacki, Władysław Kowalski, Gustaw Morcinek, Kazimiera Muszałówna, Zofja Nałkowska, Adolf Rudnicki i Bruno Schulz.

W niniejszym n-rze *Epoki* rozpoczynamy druk prac tego Zespołu.



PIERWSZY WARUNEK...

Szkolnictwo polskie przeżywa moment przełomowy nietylko w dziejach polskiej myśli wychowawczej ,ale być może i w dziejach narodu. Nowa ustawa o ustroju szkolnictwa ma za zadanie przebudować organizację szkoły i jej założenia ideowe. Nowe programy mają wnieść do szkoły polskiej nową treść.

Założenia zarówno samej ustawy, jak i programów szkolnych wynikają z najistotniejszych potrzeb chwili obecnej.

Można dyskutować, czy szczegóły reformy szkolnej, przeprowadzonej obecnie, są dobre czy złe. Jedno jednak nie ulega kwestji — w ramach ustawy ustrojowej można zawrzeć dużo żywej i cennej treści.

Jak wynika z ducha ustawy i z enuncjacyj przedstawicieli władz szkolnych, celem zasadniczym reformy szkoły polskiej jest nietyle zmiana zewnętrzno-organizacyjnej formy szkoły, nie taki czy inny jej typ i stopień: jej zadaniem naczelnem jest przebudowa psychiki społeczeństwa polskiego, zmierzająca do stworzenia typu obywatela aktywnego w każdej dziedzinie życia.

W przebudowie tej dominują trzy zasadnicze tendencje: 1) uspołecznienie jednostki oraz przygotowanie jej do czynnego i twórczego udziału w życiu państwa, 2) przygotowanie tej jednostki do życia praktycznego, w najistotniejszem tego słowa znaczeniu, a więc nastawienie jej na zagadnienia społeczno-gospodarcze i 3) wyrobienie jaknajwyższe jednostki pod względem intelektualnym i moralnym, co uczyni ją użyteczną i wartościową dla grupy społecznej, w której ona żyć musi.

Reforma obecna szkoły polskiej sięga więc do wskazań Komisji Edukacji Narodowej, streszczających się w haśle wychowania jednostki tak. aby „jej w społeczeństwie i społeczeństwu z nią było dobrze" — w haśle realizowanem na gruncie współczesnej rzeczywistości polskiej.

Lecz w reformie tej, jak w każdej pracy, czynnikiem decydującym jest człowiek, nietylko jako inicjator pewnych zamierzeń, ale jako ich realizator. Od wartości tego człowieka, od jego siły moralnej i wiary w celowość podejmowanego trudu, — zależy powodzenie.

Realizatorem dokonać się mającej przebudowy szkoły polskiej będzie nadewszystko nauczyciel, stojący bezpośrednio u warsztatu pracy wychowawczej.

Na III-cim Kongresie Pedagogicznym, który odbył się we Lwowie w dniach od 17 do 21 czerwca b. r., wicemister oświaty p. Kazimierz Pieracki powiedział między innemi: „Licząc na to, że nie będziemy słyszeli owego stale powtarzającego się „my" i „wy" — lecz tylko „my z wami", idący do wspólnego celu z wzajemnem zaufaniem — wierzymy, że reforma szkolna, która jest dziełem nietylko Ministerstwa Oświaty, nietylko dziełem jednostki, lecz która będzie dziełem całego nauczycielstwa, zostanie całkowicie zrealizowana".

Istotna reforma szkolna musi stać się dziełem zbiorowem.

Przebudowę szkoły zacząć trzeba od reformy pojęć tych, którzy nowe społeczeństwo wychować ma-

ją, t. zn. władzy szkolnej i nauczycielstwa, a przedewszystkiem od zmiany ich wzajemnego do siebie stosunku.

Nauczyciel polski właśnie domagał się tych reform, które są treścią nowej ustawy o ustroju szkolnictwa. Są dane, że nauczyciel ten, przy odpowiednich warunkach moralnych, zadanie swe spełni i pokładanych w nim nadziei nie zawiedzie.

Warunków tych obecnie jeszcze niema. Maszyna biurokratyczna posunęła się zadaleko, tyle przyniosła papierowości, suchego dogmatyzmu i sztywności, że w tej atmosferze duszą się obie strony — i władze szkolne i nauczyciel.

Nadewszystko „doły" urzędnicze chorują na przerost władzy, niewłaściwie pojmują swe kompetencje, stosunek swój do podwładnych opierają na strachu i ślepej zależności, nie umieją czy nie chcą, zniżyć się" do poziomu niedawnego kolegi, któremu z pomocą i dobrą radą przyjśćby trzeba, nie mogą zdobyć się na tę serdeczność we współdziałaniu która cechować powinna wychowawców.

„Doły" te trzeba koniecznie przebudować. Władza szkolna, na każdym jej stopniu, nie może być wyłącznie czynnikiem egzekwującym pewne wymagania ustawowe, nietylko czynnikiem, wychwytującym błędy i niedociągnięcia podwładnego, musi ona być przedewszystkiem czynnikiem doradczym, instruującym, opiekuńczym.

Szwajcarzy znieśli instytucję inspektorów szkolnych, jako hamującą zdrowy postęp szkoły.

Drugą bolączką pracy nauczycielskiej jest zależność nauczyciela od wielu czynników postronnych. Prawnie nauczyciel podlega władzy szkolnej, faktycznie zależny on jest od władzy administracji politycznej (starosty), od gminy, księdza, różnych stowarzyszeń i t. p. — tak, że biedny ten człowiek nie wie przed kim właściwie ma kark schylić i kogo respektować, gdyż każdy z tych czynników w taki lub inny sposób może go dosięgnąć.

Stąd tyle skarg na nauczyciela, idących z różnych źródeł, a znajdujących posłuch u czynników miarodajnych. W takiej sytuacji nauczyciel staje się często serwilistą, kłaniającym się we wszystkie strony i wszystkim. Stan ten, utrzymany na dłuższą metę, spowodować może załamanie się i skarlenie charakteru wychowawcy pokolenia.

Rzeczą więc konieczną jest, gdy chodzi o stosunek władzy szkolnej i otoczenia do nauczyciela, — zmiana jego sytuacji w tym duchu, aby sprzyjała pozytywnej i twórczej pracy wychowawczej oraz wytwarzaniu się charakterów mocnych.

Wreszcie sprawa swobody pedagogicznej nauczyciela. Nowe programy nauczania dają nauczycielowi wiele możliwości do rozwinięcia inicjatywy pedagogicznej, stwarzają ramy, w których dość swobodnie będzie się mógł obracać. Jest to duży krok naprzód. Ale dogmatyczna biurokracja szkolna natworzyła taką masę obowiązków papierowych, biurowych, że gnębią one nauczyciela, jak zmora wtedy właśnie, gdy on swój czas poświęcić powinien szkole i sprawie wychowania. Różne wykresy roczne, półroczne, kwartalne, miesięczne, rozkłady takie i inne, sprawozdania i t. p. stają się poprostu nieszczęściem szkoły i każdego nauczyciela.

W interesie dobra szkoły i dzieci należałoby balast ten ze szkoły usunąć, z nauczyciela-kancelisty stworzyć nauczyciela-pedagoga, oddającego swój czas i siły wyłącznie pracy wychowawczej.

Jeśli usiłowania władz szkolnych pójdą w kierunku przebudowy naszego systemu wychowawczego poprzez uprzednią odmianę tych czynników, które o skutkach reformy szkolnej decydować będą, jeśli stworzą nauczycielowi normalne warunki pracy w których wszystkie jego wartości się uaktywnią — możemy być pewni jaknajlepszych skutków.

Hasło współpracy, zawarte w słowach „my z wami" będzie wielkiem ułatwieniem w realizacji reformy szkolnej, o ile hasło to zostanie na wszystkich odcinkach pracy szkolnej wprowadzone w życie.

Aleksander Rawski



BIAŁA KLĘSKA

Chińczycy zawsze uważali wojnę jako „utratę łaski Nieba". Do karjery militarnej ojcowie rodzin przeznaczają tylko tych synów, których uważają za niezdolnych do innych zawodów i to bardzo niechętnie. Waleczność wojenna była i jest otwarcie w pogardzie, a wojna nigdy nie była gloryfikowana. Chińczyk jest przedewszystkiem rolnikiem i handlarzem, do wojskowego ma niechęć, traktując go zawsze i wszędzie narówni z bandytą, — w przeciwieństwie do Japończyka, który jest i zamiłowanym i dobrym żołnierzem, i który, pełen pogardy dla kupca, uważał zakrzywioną szablę samuraja za rzecz świętą.

„Niebezpieczeństwo żółte" ze strony Chińczyków było frazesem, ukutym w „pokojowych" Niemczech w tym okresie, kiedy Niemcy szykowali się do okupacji Szantungu tytułem „odszkodowania" za zamordowanie dwóch misjonarzy niemieckich przez Chińczyków (1897). Zresztą, zanim Europa zaczęła myśleć o żółtem niebezpieczeństwie, Chiny już boleśnie odczuły „białe niebezpieczeństwo".

Zaczęło się to w epoce odkryć geograficznych. Po powrocie Marca Polo z gościny u wielkiego chana Mongołów, Hubilaja, twórcy dynastji Mongolskiej w Chinach, rozniosła się po Europie fama o niezmierzonych bogactwach egzotycznego „Kataju", jak naonczas nazywano Chiny. Po osiągnięciu Indyj, pierwsi Portugalczycy przeniknęli dalej na Wschód. W r. 1511 przybył z flotą pod Kanton Portugalczyk Raphael Perestrello, a w 6 lat potem — Fernao Perez d'Andrade. Przybył nie jako zdobywca, ale jako kupiec, z prośbą o przywilej wolnego handlu. Kto wie, jak ukształtowałyby się — mimo wrodzonej Chińczykom niechęci do rzeczy nowych i poczucia, zwłaszcza wtedy, wyższości kultury nad całym światem — stosunki kulturalne, polityczne i handlowe pomiędzy Europą i Chinami, gdyby nie to, że już wszyscy następni przybysze, oprócz uczonych misjonarzy jezuickich, okazali się naprawdę „zamorskimi djabłami". Przybyły wkrótce potem brat Fernao d'Andrade pokazał zgoła inne oblicze: przywilejów handlu domagał się siłą i dopuścił się szeregu aktów gwałtu na Chińczykach, co zresztą, przypłacił głową. W tym to mniejwięcej czasie ukazali się na Dalekim Wschodzie i zdobywczy Hiszpa-

nie. Jednym z pierwszych ich aktów była krwawa masakra osiadłych na Filipinach Chińczyków.

Z początku tak dalece nie zdawano sobie sprawy z celu wizyt zamorskich ludzi, że władcy chińscy nie godzili się przyjąć ich bez ceremonji czołobitnego pokłonu. „Przybywają zapewne z hołdem" — myśleli Chińczycy.

Niedługo jednak trwali w tem błędnem mniemaniu. Przekonali się ze smutkiem, poco ci „rudowłosi ludzie, o kocich oczach" odbywali tak dalekie podróże. Szło o przywileje handlowe i o... odszkodowania za tych aroganckich i łupieżczych kupców, których Chińczycy zabili w obronie własnego życia. Wszystkie swe żądania biali ludzie wypowiadali, grożąc szybkostrzelną bronią.

Chiny nie zapraszały Europy i nie chciały uznać równości z nią ani cywilizacyjnie, ani dyplomatycznie, ani handlowo. Ale Zachód był innego zdania. Serjami gwałtów i wojen zwalczali każdy objaw sprzeciwu ze strony Chin. Wzięli na swoje białe barki brzemię... cywilizowania Chin.

Epokę cywilizacyjnej misji na szerszą skalę rozpoczęli Anglicy. Zapomocą armat zmusili Chińczyków do nabywania opjum z indyjskiego maku. W krótkim czasie opjum stało się pierwszorzędnym czynnikiem w podporządkowaniu miljonów słabych żółtych ludzi woli zachodnich narodów. Wojna „opjumowa" (1840—1842) ujawniła w całej rozciągłości słabość militarną Chin. Kolejno wykorzystują ją inne państwa europejskie i ich pojętny uczeń — Japonja. Smutnie zapisał się w historji Chin i cywilizacji r. 1860, kiedy to zjednoczone wojska angielskie i francuskie, wkroczyły do Pekinu, zrabowały i zniszczyły najwspanialsze dzieła sztuki chińskiej i spaliły Pałac Letni. W sierpniu r. 1900 oddziały międzynarodowej armji wkroczyły do Pekinu, tłumiąc bunt „bokserów". Wkroczyły poto, by zapewnić stolicy Chin spokój, ale drogę ich znaczyły gwałty, masakry i stosy trupów chińskich. „Rozkoszą jest zabijać Chińczyków... bawić się ich warkoczami..."

Znane są dobrze „przyjazne wstawiennictwa" jednych państw europejskich w konfliktach Chin z innemi; wstawiennictwa, za które drogo Chiny musiały płacić. Wolne por.y, sfery wpływów, koncesje, uprzywilejowane cła, sądy konsularne, dzierżawy wieczyste i t. p. — oto, czem Chiny musiały nagrodzić Zachód, który chciał udekorować mapę Chin „cywilizowanemi" kolorami, podobnie do tych, które upstrzyły mapę Afryki.

Zwolna, ale zbyt późno, Chińczycy zaczęli rozumieć, że ich krajowi brak tego, co pozwalało ludziom białym wkraczać wszędzie; zorjentowali się, że potęga Zachodu tkwi przedewszystkiem w potężnem uzbrojeniu. Miljonowe odszkodowania za wojny z Zachodem i z Japonją, chaos wewnątrz Chin, niechęć do przyswajania sobie nowych zdobyczy techniki, związana ze specyficznie chińskiemi przesądami — wszystko to nie pozwoliło Chinom uzbroić się tak, by móc stawić czoło wszelkim zakusom wrogów i... przyjaciół".

„Lepszy pies w czasie pokoju, niż człowiek podczas wojny" — mówi stare przysłowie chińskie. Pogrążeni w wiekowej wzgardzie dla rzemiosła wojennego, nie zdołali Chińczycy zorjen owac się tak szybko w „białej klęsce", jak Japończycy. Pierwszym krokiem Japonji do modernizacji było szybkie i najbardziej nowoczesne zbrojenie się kraju. Pod tym względem Japończycy nietylko okazali się zdolnymi uczniami ludzi białych, bo nawet zdołali swych mistrzów zdystansować. I pod innym względem nauka nie poszła w las... Łatwość, z jaką biali ludzie zdobywali różne korzyści na Chinach, otworzyła oczy na nie również Japończykom. Te dwa tak blisko siebie leżące kraje, na przestrzeni kilkunastu wieków, starły się raz poważnie w wieku XVI, kiedy to Japonja pierwszy raz pokusiła się o Koreę, a potem dopiero w w. XIX, kiedy już Europa rozbiła taranem wrota do Chin.

Europa pokazała pierwsza drogę do Chin, pierwsza tam wkroczy.a, rzekomo dla zapobieżenia „żółtemu niebezpieczeństwu". Absolutna bezradność, jakiej dowiódł ostatnio Zachód w zażegnaniu konfliktu japońsko-chińskiego, i porozumienie bezpośrednie pomiędzy dwoma żółtymi wrogami zdają się być pierwszemi jaskółkami odwrócenia się roli białych na Dalekim Wschodzie.

„Biała klęska" staje się klęską białych...

Dr. Michał Derenicz



ODGŁOSY

NASZA PROPOZYCJA

Gazeta Warszawska (Nr. 226) przytacza cyfry, z których wynika, że w latach ostatnich mamy spadek przyrostu ludności w Polsce. (Liczba zawartych małżeństw w roku 1932 zmalała w porównaniu z rokiem 1930-tym o 30.000. Liczba urodzeń, która w r. 1930 wynosiła 1.015.000 dzieci, w roku 1932 zmniejszyła się do 932.000, czyli zmalała o 83.000).

Przyczyna spadku urodzeń nie budzi wątpliwości, jest oczywista: tkwi w warunkach gospodarczych lat kryzysu. *Gazeta Warszawska* daje taką radę:

„Zarówno państwo i społeczeństwo musi się zabrać do wymiecania śmieci „reformy seksualnej" i „świadomego macierzyństwa" z naszej obyczajowości".

Zamiast polemiki proponujemy *Gazecie Warszawskiej*, co następuje. Z chwilą, gdy *Gazeta Warszawska* zobowiąże się do tego, żeby w Polsce 1) ustała straszliwa śmiertelność dzieci, 2) każde dziecko proletarjatu miejskiego i wiejskiego otrzymało należytą opiekę, 3) wszystkie dzieci bezdomne znalazły się w przytułkach i szkołach, 4) w izbach robotniczych i chłopskich „zniesiono" gruźlicę i przeludnienie, 5) ustała plaga poronień z zakażeniami, ciężkiemi chorobami i wypadkami śmierci — z tą chwilą redakcja *Epoki* zobowiąże się do natychmiastowej likwidacji w całej Polsce — propagandy regulacji urodzeń i świadomego macierzyństwa.

Trzymajcie nas, panowie, za słowo.

LEKKA ZARAZA W GRENADZIE

Godny uwagi artykuł znajdujemy w miesięczniku *Ziemianka Polska* („Organ zrzeszenia ziemianek wszystkich ziem polskich"). P. Marja Wiktorowa zwalcza Ligę Reformy Obyczajów i pragnie, aby ziemianki polskie stworzyły „Ligę Ochrony Obyczajów", jako przeciwwagę tamtej. Jednak na podstawie wywodów p. Marji Wiktorowej możnaby przypuścić, że „Liga Ochrony Obyczajów" przejęłaby od swej przeciwniczki pewną dozę radykalizmu obyczajowego...

„Każda epoka — pisze p. Wiktorowa — ma inne wymagania i nie można młodzieży chować na obraz i podobieństwo starszego pokolenia. W ten sposób świat cofałby się wstecz i nie byłoby nigdy żadnego postępu. Nowe prądy muszą w niejednem brać górę i nie powinno się ich hamować, o ile utrzymują się w granicach etyki chrześcijańskiej. Wszystko, co czuć stęchlizną ubiegłych stuleci, co jest niepotrzebnym balastem i formą, odrzucimy bez wahania".

Chciałoby się zawołać: brawo! doskonale! Zdawałoby się, że poprostu — zaraza w Grenadzie... Ale przebieg „zarazy" jeszcze bardzo lekki... P. Wiktorowa nie zdobywa się, oczywiście, na jakąś precyzję, nie mówi, *jakie* to, mianowicie, prądy muszą brać górę, *czego* nie należy hamować, *co* czuć „stęchlizną ubiegłych stuleci" i co jest „balastem" My te rzeczy nazywamy po imieniu i dlatego wywołujemy gromy oburzenia. Dopóki się mówi o postępie „wogóle", o konieczności reform „wogóle", o tem, że „trzeba z żywymi naprzód iść" i t. d., — wszyscy są „postępowi", wszyscy uznają „ducha czasu"; niema takiego konserwatysty, któryby przeciwstawiał się idei postępu — wogóle... Ale niechno ktoś zacznie te sprawy ujmować nieco sciślej, niech powie konkretnie, co trzeba zmienić i co odrzucić— zaraz krzyk i przerażenie. I na tem też polega różnica pomiędzy „postępowym" frazesem, a pozytywną walką społeczną.

Lekka jednak zaraza w ziemiańskiej Grenadzie daje znać o sobie w następujących wywodach p. Wiktorowej:

„Nieuświadamianie młodzieży byłoby dziś naprawdę przeżytkiem — niema zresztą szkoły, któraby tę kwestję pomijała zupełnem milczeniem, a chyba nie wiele rodziców posiada jeszcze lęk przed „zbrukaniem duszy dziecka" wczesnem uświadomieniem. Z mego punktu widzenia podobnie fałszywa pruderja jest poprawianiem p. Boya. (?) Bóg stworzył dwie płcie, a więc przeznaczenie ich nie może być złem samem w sobie. Kościół poucza, gdzie zaczyna się zło, a kiedy człowiek odpowiada celowi stworzenia. Uświadomienie na tej podstawie jest więc łatwiejsze, niźli się niektórym może zdawać. Dziecko ma umysł jasny i prosty. Wszelkiemi wykrętami i niedomówieniami sami podsuwamy mu podejrzenia, że chodzi o rzecz niezwykłą, a tem samem szczególnie interesującą. Nazywajmy rzeczy po imieniu: dobro — dobrem, złe — złem. Pozatem chowajmy dzieci w dyscyplinie religijnej, która jedynie może ustrzec młodzież przed pokusami świata! Żadna nieświadomość, żadne ukrywanie „pod korcem" nie pomoże tam, gdzie odezwą się zmysły. Uświadomienie może od niejednego zła uchronić tych, których nie zdoła osłonić skrzydło ojca, lub matki, dotyczy to szczególnie dziewcząt, uczęszczających do szkół publicznych, korzystających ze względnej swobody, a w każdym razie nie zawsze dopatrzonych najczujniejszem okiem wychowawców. — Dajmy dziecku podstawy, z jakich może się bronić, dopomóżmy mu do wyrobienia woli i charakteru, ale nie usuwajmy mu z przed oczu tego, czego nigdy z jego życia usunąć nie zdołamy".

Niektóre zdania są tu, jakby żywcem wyjęte z licznych artykułów, propagujących reformę obyczajów. Bo — niechże się Pani zastanowi — to właśnie uświadamianie młodzieży jest jedną z podstawowych *reform* wychowawczych w dziedzinie obyczajów. Tak się właśnie *reformuje* obyczaje, nie zaś *ochrania*. P. Wiktorowa powinnaby sobie również uprzytomnić, że to, co dziś drukuje w *Ziemiance Polskiej*, uchodziło za prawdziwą herezję jeszcze tak niedawno. Nasze to zwycięstwo — obozu „demoralizatorów" — że niedawne „herezje" stają się zasadami powszechnie już uznanemi za słuszne. I tak będzie nadal. Może za jakieś ćwierć wieku zamieści *Ziemianka Polska* artykuł, który dziś mógłby być wydrukowany w *Epoce*...

A teraz — interesujący przykład polemicznej mieszaniny. Czytamy oto w artykule p. Wiktorowej:

„Każde dziecko ślubne, czy nieślubne, ma mieć swoje miejsce w społeczeństwie i każda matka, która swój obowiązek wobec dziecka wypełnia, zasługuje na szacunek, z tem powinniśmy się wszyscy pogodzić, ale domaganie się prawa macierzyństwa dla każdej kobiety jest niemniej przez to niemoralnem. Jest w tem zresztą wielka sprzeczność: raz się krzyczy: „Uwolnijcie od winy i kary tę dziewczynę, która zabiła lub porzuciła dziecko, gdyż, nie mając męża, nie może ponosić całego ciężaru wychowania".— Widocznie może, jeżeli w wychowaniu dziecka pomoc ojca okazuje się zbyteczną. Jeżeli jednej wolno, bo chce — to druga musi, gdyż każdy człowiek winien ponosić konsekwencję swych uczynków".

W pierwszem zdaniu — wyraźna nieprawomyślność. Pozwolimy sobie zaznaczyć, że kościół *odmawia* szacunku matce nieślubnego dziecka, choćby spełniała swój wobec dziecka obowiązek. Domaganie się szacunku dla tej matki — to znowu nasza, nie od dziś prowadzona akcja obyczajowo „wywrotowa". Zdanie drugie — insynuacja niepotrzebna w tym artykule, utrzymanym na przyzwoitym poziomie. Nikt nie „krzyczy" o bezkarność dla dzieciobójczyń, ale jest sporo takich, którzy domagają się od sądu i od opinji publicznej uczciwego wniknięcia w sytuacje tragiczne i — przez to samo — w okoliczności łagodzące. Następnie: dla jednej matki pomoc ojca może być zbyteczna, dla drugiej — nieodzowna. Wszystko zależy od tego, w jakiem te matki znajdują się położeniu. Domaganie się od matki nieślubnego dziecka, kobiety oszukanej, opuszczonej, wyklętej przez najbliższe otoczenie i pozbawionej środków do życia, żeby spełniła swój obowiązek wobec dziecka, bo „każdy człowiek winien ponosić konsekwencję swych uczynków", brzmi, jak bezlitosna ironja. P. Wiktorowa zdaje się mieć dobre serce, ale — niestety — ma bardzo słabe poczucie rzeczywistości społecznej. Wśród przeciwników Ligi Reformy Obyczajów jest cały zastęp takich właśnie osób: nie wiedzą, co się dzieje w społeczeństwie, nie znają wielkiej tragedji obyczajowej naszych czasów. Chociaż są „postępowe" — „wogóle"...

Jeszcze słówko pod adresem p. Wiktorowej. W sprawie kary śmierci, którą p. Wiktorowa uważa za „zło konieczne". Jest więc ***zwolenniczką*** kary śmier-

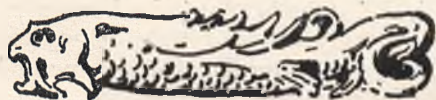
ci. *Wszyscy* zwolennicy tej kary uważają ją za „zło konieczne". Niema nikogo, ktoby twierdził, że kara śmierci jest dobra, humanitarna i zawsze pożądana.

...Przypomina mi się — pisze p. Wiktorowa — jak pewien poseł francuski był temu również przeciwny. „Człowiek nie ma prawa zabijać człowieka", mówił, „ale jedno zastrzeżenie, zanim zniesiemy we Francji karę śmierci: „Messieurs les assasins, commencez les premiers!"

Ten znany „dowcipny" argument, który tak się spodobał p. Wiktorowej, odpierano już niezliczoną ilość razy. „Dowcip" Alfonsa Carr'a (dosłownie: „Que messieurs les bandits commencent les premiers") stawiał bandytów i państwo na jednej płaszczyźnie moralnej, obrażał więc państwo.

Zajęliśmy się dość troskliwie wywodami p. Wiktorowej, są bowiem bardzo charakterystycznę. Co za mieszanina „postępowości" („wogóle"), reakcji i powierzchowności sądu!

R.



W WIĘZIENIACH RUMUŃSKICH

Paryskie *L'Oeuvre* pisze o więzieniach w Rumunji:

„Znów rozlegają się protesty przeciw rygorowi, jakiemu poddani są w Rumunji więźniowie polityczni.

„9 maja zwrócili się więźniowie Doftany do dyrektora z prośbą o przestrzeganie przez dozorców regulaminu. Odpowiedziano im ogniem z karabinów maszynowych. Trzech więźniów śmiertelnie zraniono, siedmiu przeniesiono do oddziału „H", przeznaczonego dla skazanych na śmierć, trzech odesłano do budzącego grozę w przestępcach zakładu Aiud, sześćdziesięciu skuto w kajdany i wrzucono do ciemnicy.

„Pozatem zakazano więźniom politycznym przyjmowania żywności od rodzin, co oznacza dla nich głodową śmierć.

„Ponadto dla uzupełnienia niedostatecznej widać kary, dozorcy katują i męczą. Od razów i tortur dwóch więźniów, Colea i Prat, dostało pomieszania zmysłów, a trzystu ich towarzyszy przewieziono do szpitala.

„Po strajkach kwietniowych w Grivitza z setkami wypadków śmiertelnych, stu robotników oczekuje — w Jilava — sądu. Jaki los ich czeka?"

WIEDZA MATRYMONJALNA

Trzy uniwersytety amerykańskie wzbogaciły się o nowe katedry, poświęcone „Nauce szczęścia małżeńskiego". Inicjatywa należy do Butler-University, gdzie wykłady odniosły taki sukces, że rychło uruchomiono analogiczne katedry w Guilford-Colege, oraz Woman College w Conectitut. Okólnik Butler University pisze: „Jednym z najbardziej niepokojących objawów naszej epoki jest stały wzrost liczb rozwodów. Małżeństwo przeżywa kryzys, którego przyczyną jest niewystarczające lub żadne przygotowanie młodych kobiet i mężczyzn do pożycia małżeńskiego".

Nowa nauka „szczęścia poślubnego" obejmuje na każdym z uniwersytetów trzy kursy: kurs gospodarstwa, kurs fizjologiczny oraz psychologiczny. Wykłady „fizjologji małżeńskiej", zajmują dwie godziny tygodniowo, a prowadzą je wybitni lekarze, którzy wychodzą z założenia, że trwałość związku poślubnego zależy od „równowagi w pożyciu seksualnem". Należy tedy wtajemniczyć młodzież w niezbędne dla jej szczęścia wiadomości o fizjologji płciowej. Wykłady te cieszą się najliczniejszą frekwencją.

Wykłady „psychologji małżeńskiej" zaznajamiają słuchaczów z psychologicznym mechanizmem... utarczek słownych, zwad, kłótni i „awantur domowych". Pozatem uczą zainteresowania dla zawodu męża. „Wszelkie zarzuty i pretensje nie powinny też — nawet, gdy są uzasadnione — być wytaczane przed spożyciem posiłku". Pozatem wykłady obejmują kurs „organizacji i dyscypliny matrymonjalnej, które zmierzają do wykluczenia wszelkiej kolizji interesów, uczuć i myśli. Psychologja ustępliwości, mądrej i przewidującej, odegrać winna znaczną rolę w utrwaleniu instytucji małżeńskiej".

Amerykanie wierzą, że „nauka szczęśliwego pożycia" wpłynie na zmniejszenie liczby małżeństw nieszczęśliwych i rozwiedzionych.



POWRÓT NA ROLĘ

Medjolańskie *„Popolo d'Italia"* ogłosiło artykuł Benita Mussoliniego p. t. „Powrót na rolę", z którego cytujemy wyjątki, charakterystyczne dla nowych zamierzeń włoskiego regime'u.

„W krajach, gdzie przeważa przemysłowy typ gospodarki, gdzie coraz wyższe zastosowanie maszyn stwarza chroniczny brak pracy, zwany technicznem bezrobociem, rozlega się coraz głośniejsze wołanie: „Wróćcie na rolę!". Programy wielu stronnictw politycznych różnych krajów wysuwają ten postulat. Rolnictwo wysuwa się na pierwszy plan nietylko we Włoszech, lecz także w Niemczech, w Anglji czy w Stanach Zjednoczonych.

...„Kryzys trwa. Czy olbrzymie rzesze dawnych rolników i wieśniaków mogą być wchłonięte przez produkcję przemysłową? Jestto to mało prawdopodobne. Należy wyrzec się myśli zlikwidowania mniej czy więcej znaczącej części bezrobocia chronicznego. Czy można nawrócić tę rzeszę dawnych rolników do porzuconych przez nich wsi? Są pewne możliwości, których nie należy jednak przeceniać.

...„Od r. 1926 zastosowałem we Włoszech energiczne środki celem odciążenia wielkich ośrodków miejskich. Wyniki dalekie pozostały od zamierzeń pierwotnych mimo dyscypliny ludności i energji, z jaką wykonywane są wszelkie zarządzenia faszystowskie.

„Będę oczywiście kontynuował tę akcję. Lecz osiągnięcie pełnych wyników upatruję w innym programie, który zmierza do zatrzymania włościan na ich ziemi.

...„ Ze stanowiska moralnego należy czcić ludzi, uprawiających rolę, należy ich uważać za pierwszą warstwę narodowej wspólnoty, należy o nich pamiętać zawsze, nietylko w okresie przedwyborczym.

...„ Ponadto, warunki ekonomiczne życia wiejskiego nie powinny odbiegać od elementarnych, podstawowych wymogów egzystencji. Mojem zdaniem, obszerny i wygodny dom jest niezbędny, jeśli żąda się od rodziny chłopskiej, by nie rozpraszała się i nie wędrowała do miasta.

...„ Wieś powinna być wyposażona w elektryczność, telefon, kina, radjo i sieć drożną, która ułatwiałaby zarówno przewóz produktów jak ruch osobowy.

...„ Powrót a raczej pozostanie na roli zależy jednak przedewszystkiem od warunku podstawowego, obejmującego wszelkie inne: chodzi mi o rozwiązanie kryzysu rolnego. Rolnictwo pierwsze zostało ugodzone ciosami przesilenia i będzie ostatniem, które się otrząśnie z bezwładu. We wszystkich krajach zadłużenie rolnictwa sięga legendarnych cyfr, a cierpienia rolników są niewypowiedziane.

...„ Mój rząd ograniczył się do umiarkowanej interwencji państwa, unikając środków zbyt gwałtownych, których skutki mogą być nieoczekiwane. Wielekroć podkreślałem w moich wywodach, że jeśli można stosować chirurgję w polityce, należy jej niemal zawsze unikać w ekonomji. Rolnictwo włoskie jest zadłużone na globalną sumę, która waha się od sześciu do ośmiu miljardów lirów.

...„ Przedsięwzięte środki, jak i znajdujące się jeszcze w fazie projektów i studjów, nie rozwiązały kryzysu, lecz spowodowały pewne odprężenie. Rozwiązanie leży na linji umiarkowanego wzrostu cen, który nie powinien być rezultatem kombinacyj monetarnych, lecz jedynie — zwiększonej konsumcji. Wymaga to zkolei atmosfery współpracy politycznej i światowego pokoju".

MIĘDZYNARODÓWKA GAZU

Jak odróżnić wojenną i pokojową produkcję fabryk chemicznych, które obok aspiryny, wytwarzają iperyt i fosgen? Te same instalacje służą do wyrobu barwników i śmiertelnych gazów bojowych. Chemja przemysłowa jest zarazem chemją wojenną. Skoncentrowana jest dziś w ręku potężnych trustów narodowych: I. G. Farben w Niemczech, I. C. I. w Anglji, Kuhlman w Francji, Du Pont de Nemours, Allied Chemical i trustu karbidowo - węglowego w Stanach Zjednoczonych.

Trust *Interessen - Gemeinschaft - Farbenindustrie*, założony w r. 1925, posiada kapitał 1 miljarda 100 miljonów mk. Główne fabryki mieszczą się w Frankfurcie i Leuna - Mersenburg. Do Rady Administracyjnej należy wielu cudzoziemców, zainteresowanych w innych wytwórniach środków amunicyjnych Europy.

Wytwórnie francuskie *Kuhlmana* mocno są związane z zagraniczną produkcją chemiczną. W kapitale zakładowym uczestniczą banki amerykańskie, szwajcarskie i niemieckie. Dwaj delegaci zasiadają w I. G. Farben oraz w truście dynamitowym Hiszpanji.

W Anglji monopol produkcji należy do *Imperial Chemical Industrie* o kapitale 70 miljonów funtów; Towarzystwo korzysta z subwencyj i poparcia rządu. Czasopismo *The Chemical Age* formułuje w sposób następujący cele trustu: „Głównym argumentem, przemawiającym za utworzeniem samodzielnego przemysłu barwników w Anglji jest bezpieczeństwo narodowe czyli konieczność istnienia fabryk chemicznych, które w razie potrzeby mogłyby się przeobrazić w wytwórnie wojenne". W sprawozdaniu za r. 1932 figuruje wśród akcjonarjuszów trustu chemicznego, produkującego gazy trujące Sir *John Simon*, sekretarz Stanu i *delegat na Konferencję Rozbrojeniową!* Po interpelacji posła Toma Williamsa Sir John sprzedał kompromitujące go 1.512 akcyj. Lecz na tej samej liście znajduje się 666 akcyj sir *Austen Chamberlaina* oraz 11.447 akcyj ministra finansów *Neville Chamberlaina*. Dla zabezpieczenia interesów narodowych udział zagranicy nie może przekraczać 25% kapitału akcyjnego, podczas gdy trust jest udziałowcem wielu wytwórni amerykańskich, kanadyjskich i niemieckich.

Potęga przemysłu chemicznego Stanów Zjednoczonych datuje się od okresu wielkiej wojny. Największym jest trust *Du Pont de Nemours*, o kapitale 650 miljonów dolarów. Trust ten wywiera wpływ na towarzystwo General Motors, produkcję stali i inne gałęzie przemysłu ciężkiego. *Allied Chemical Corp.*, o kapitale 400 miljonów dolarów, założono w r. 1920 dla eksploatacji ujawnionych przez Niemcy sekretów produkcji gazu. Trust karbidowo - węglowy, o kapitale 350 miljonów dolarów, sprawuje kontrolę nad trzydziestoma towarzystwami chemicznemi.

Wybuchające od czasu do czasu skandale ukazują właściwie oblicze i przeznaczenie zamaskowanej produkcji chemicznej. Od czasu zawładnięcia Mandżurji i rynku pekińskiego przez Japonję — brytyjskie I. C. I. dostarcza swych produktów zarówno Japonji, jak i Chinom. Poseł socjalistyczny Paul Faure ujawnił przed parlamentem francuskim dostawę prochu firmy Creusot dla Niemiec. Katastrofa fosgenowa w Hamburgu w r. 1928 odkryła węzły, łączące wytwórnie chemiczne Reichswehry z Sowietami.

Wielkie trusty narodowe związane są wzajemnie węzłami interesów. „Polityka I. G. Farbenindustrie— oświadczył p. Bosch, prezes dyrekcji I. G. — zmierza do międzynarodowego porozumienia producentów chemicznych Europy i Ameryki, celem wspólnego oznaczania cen, wzajemnej wymiany patentów oraz pomocy finansowej".

Tak wygląda międzynarodówka gazów trujących.



Przyjaciół naszego pisma prosimy o podawanie nam adresów osób, którym należy posyłać okazowe numery „Epoki"

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

KOMPROMIS D. H. LAWRENCE'A

D. H. Lawrence pisał we wstępie do swej głośnej powieści „Kochanek Lady Chatterley" *): „Wydawcy angielscy nalegają na mnie, abym opublikował oczyszczone wydanie niniejszej książki, obiecują mi pokaźne zyski i podkreślają, iż wykazałbym w ten sposób publiczności, że jest to doskonała powieść niezależnie od całego „erotyzmu" i od „nieprzyzwoitych słów". Poczynam więc ulegać pokusie i zabieram się do oczyszczania. Ale to niemożliwe! Z równem powodzeniem mógłbym probować przykrojenia swego nosa nożyczkami. Książka krwawi".

W przekładzie polskim ukazała się powieść Lawrence'a właśnie w stanie krwawiącym. Cenzura obeszła się z tem dziełem bezceremonjalnie. Usunięto dziesiątki stronic najbardziej istotnych. W rezultacie mamy powieść taką, jak np. książka o lekkoatletyce, w której nie byłoby mowy o nogach. To też przekład polski daje dość słabe pojęcia o powieści Lawrence'a. Można sobie dużo „dośpiewać", ale trzebaby mieć tyleż intuicji, co sam autor, żeby to „dośpiewanie" zastąpiło tekst. Duch cenzury zaraził samego tłómacza, który ze swej strony też książkę „pokaleczył", do brutalnych skreśleń cenzora dodając wstydliwe przeinaczenia słów i określeń. Naprzykład: życie płciowe tłómacz przez zalęknioną skromność — nazywa „kontaktem": „Był z nią zbyt zżyty, a jednak niedość zżyty. Był z nią tak bardzo zjednoczony we własnym i w jej duchu, ale cieleśnie nie istnieli dla siebie nawzajem, a żadne z nich nie miało odwagi poruszenia *corpus delicti*. Byli z sobą tak zżyci, a tak zupełnie bez kontaktu" (str. 46) Albo: „Brak kontaktu rodził w niej zaniepokojenie, które ogarniało ją jak obłęd" (str. 49). Albo jeszcze: „Niejasno zdawała sobie sprawę, że marnuje się przez to. Niejasno uświadamiała sobie, że nie posiada kontaktu" (str. 59). Ten „kontakt" jest równie pomysłowy, jak określenie „kryzys", kiedy mowa o spazmie erotycznym: „Ale z chwilą, gdy ją do tego doprowadził, uważała za naturalne, że i ona powinna z nim przeżywać własny kryzys" (str. 106). „Kontakt", „kryzys" i tym podobne zawoalowane określenia dają efekt irytująco humorystyczny — z wielką krzywdą dla tego ze wszechmiar poważnego, uczciwego i niepospolitego dzieła.

Skoro już o przekładzie mowa, trzeba zaznaczyć, że książkę czyta się z niemałą trudnością: roi się tu od błędów językowych i stylistycznych. Kilka przykładów: „Później zahartowała się na to" (str. 39). „Zainteresowania ich nigdy nie przestały się zbiegać nad jego dziełem" (str. 46). „Błogosławione niechaj będą serca, które łączą w jednakiem(?) serca nasze" (str. 76). „Na przednim planie wydawał się ożywiony i czujny, ale na tylnym planie panowała atmosfera Anglji Środkowej, opary, zakopcona mgła" (str. 98). „Kto może mię zmusić, żeby je kochać lub udawać, jakobym je kochał, kto może mię zmusić do stosowania mego seksualizmu?" (str. 110). „Connie miała wrażenie, jakoby Clifford teraz dopiero ukazywał się w swojej właściwej postaci i nieco wulgarny, nieco powszedni i nieduchowy" (str. 182). P. Tarnowski lubi określenia „nieduchowy" (zamiast „nieuduchowiony") powtarza je kilka razy. Dalej: „Niektórzy ludzie żenią się naprawdę sobie naprzekór, ponieważ rozczarowali się na czemś" (str. 246). „Connie nalała mu herbaty. Zawahała się z mlekiem" (str. 282). „Nie teraz! — rzekła Connie głucho, chociaż gdyby w najsłabszym stopniu zrobił użytek z władzy, jaką nad nią posiadał, byłaby weszła, gdyż nie miała siły przeciwko niemu" (str. 287). A oto zwroty niezrozumiałe lub zgoła niedorzeczne: „I ona to właśnie pozbawiła Connie obserwowania go w odosobnieniu od siebie samej" (str. 58). „Musiał odejść, aż ona przyjdzie" (str. 247). „Poważnie mówiąc, nie doszli do niczego, poza starem wolnomularstwem męskiej zmysłowości" (str. 449).

Powieść Lawrence'a to gorąca obrona prawa do doboru płciowego, jako podstawy szczęścia, zadowolenia i harmonji. Stąd — znaczenie istotne tych szczegółów „drastycznych", które nie spodobały się cenzurze i które chciał „złagodzić" sam tłómacz. Lawrence nie chciał i nie mógł pominąć momentów, które podkreślają, a nawet wyjaśniają sens doboru płciowego, sens fizjologiczny, a w swych refleksach — również moralny i psychiczny. To, czego doświadczają wszyscy dojrzali ludzie i o czem doskonale wiedzą — zademonstrował w powieści, której cała „niemoralność" polega na nieukrywaniu prawdy.

Oburzenie jakie Lawrence wywołał w pewnych kołach angielskich płynęło nietylko z obrażonego poczucia zakłamanej „moralności", ale może przedewszystkiem ze zranionego snobizmu klasowego: lady Chatterley. Małżonka przedstawiciela „dobrego rodu" ma romans z leśniczym, który służy w majątku męża. Wprawdzie leśniczy nie jest prostakiem, w wojsku był porucznikiem, ale jednak — leśniczy... W dodatku — ów leśniczy jest usposobiony bardzo radykalnie, jego postawa moralna, jego poglądy społeczno - polityczne idą w parze z brakiem przesądów w życiu erotycznem (co zresztą jest doskonale konsekwentne).

W artykułach, dyskusjach, a nawet w całych rozprawach o tem dość odważnem, uczciwem i pełnem talentu dziele nie zwrócono dotychczas uwagi na pewne jednak wypaczenie sprawy zasadniczej. Obrona prawa do doboru płciowego jest w tej powieści — mimo wszystko — niecałkowita, niedoprowadzona do konsekwencji ostatecznej, rzecby nawet można, że to obrona — kompromisowa. Mąż lady Chatterley jest sparaliżowanym impotentem. Stąd jej życie nienormalne, jej wieczny niepokój i — szukanie kochanka. Pierwszy — Michaelis — zmroził ją. Krótkotrwały romans z Michaelisem przyniósł jej przykrości niedoboru płciowego. Leśniczy natomiast dał jej pełnię zadowolenia. Została przy nim. Otóż pełna i konsekwentna obrona prawa do doboru płciowego wymagałaby, żeby mąż Connie był zdrowym, normalnym mężczyzną. Skoro bowiem był sparaliżowanym impotentem, odejście Connie i romans z leśniczym — jest raczej tylko ilustracją prawa do życia płciowego. A o ten pospolity i banalny motyw wcale Lawrence'owi nie chodziło. Cała treść książki, wszystkie niemal rozmowy i owe najbardziej „drastyczne" sytuacje dowodzą, że tu chodzi

*) *D. H. Lawrence:* Kochanek Lady Chatterley. Przełożył Marceli Tarnowski. Nakładem księgarni M. Fruchtmana. Warszawa 1933.

o rzecz istotniejszą: o prawdę i prawo doboru płciowego. Stąd też słowa Lawrence'a: „Naprzekór wszystkim nieprzyjaciołom puszczam tę powieść w świat, jako uczciwą, zdrową książkę, jakiej nam dzisiaj potrzeba". Zdrową, ponieważ życie erotyczne jest zdrowe tylko przy rzeczywistym doborze płciowym, daje harmonję fizyczną i moralną. „Życie — mówi dalej Lawrence — jest dobre wtedy tylko, gdy duch i ciało są w harmonji, gdy panuje między niemi naturalna równowaga, gdy posiadają one dla siebie wzajemny naturalny szacunek... Można bardzo długo oszukiwać siebie samego co do swoich uczuć. Ciało samo wywołuje wreszcie reakcję i to reakcję bezlitosną".

„Szaleństwo" więc lady Chatterley nie wymagało usprawiedliwienia w postaci męża — kaleki. Terror kołtuństwa i sugestje przesądu są tak silne, że nawet u tak odważnego pisarza wywołały koncepcję kompromisową. Nic nie pomogło. Był i tak wyklęty. Gdyby żył, może porzuciłby już wszelki kompromis.

J. W.

ZAPOMNIANY MYŚLICIEL

Monografja p. Edwarda Frauenglasa*) ukazuje się w dwóchsetną rocznicę śmierci zapomnianego, a za życia głośnego myśliciela — Mandeville'a. P. Frauenglas po krótkim zarysie biograficznym, omawia poglądy Mandeville'a na źródła moralności, jego stosunek do religji i ekonomji, konfrontuje wreszcie Mandeville'a z Berkeley'em i Shaftesbury'm.

Myśliciel angielski żył w epoce pełnej fermentu, w której dokonywały się przełomowe przeobrażenia w życiu gospodarczem, kulturalnem i politycznem Anglji.

Rozpoczynał się już okres nowoczesnego kapitalizmu i liberalizmu na gruzach ustroju feodalnego. Na arenę dziejową występowało mieszczaństwo. Ekonomja, etyka, filozofja podejmują dzieło rozumowego umotywowania indywidualizmu i zasady „laisser - faire".

Dzieła i myśli Mandeville'a są wiernem odbiciem ówczesnej apoteozy wolnej gry sił i dlatego postać jego urasta do miary reprezentanta epoki. Pisma jego są źródłem do poznania filozoficznych dyskusyj wczesnego oświecenia oraz dają wierny wyraz ideologji budzącego się mieszczaństwa.

Urodzony i wychowany w Holandji, osiedlił się Mandeville w Anglji pod koniec 17 wieku, w okresie ożywionej dyskusji na temat organizacji społeczeństwa i państwa. Jednostka, wyzwolona z więzów feodalnego ustroju, pragnęła ugruntować swoje prawa do nieograniczonej ekspansji w dziedzinie gospodarczej i politycznej. Jednocześnie zarysowują się w życiu społecznem Anglji jaskrawe przeciwieństwa. Zbytek wzbogaconych kupców, szlachty i wyższego kleru anglikańskiego dobitnie odcina się od nędzy pracujących warstw miast i wsi oraz niższego duchowieństwa. Oświecenie górnych sfer kontrastuje z brakiem kultury lub zgoła analfabetyzmem szerokich rzesz. Rozszerza się zarazem alkoholizm i prostytucja. Wzmogły się kradzieże i gwałty publiczne. Lata ówczesne stoją pod znakiem upadku obyczajów, a jednocześnie — są okresem fermentu i przebudowy. Nowa treść życia rozsadza stare pojęcia prawne i etyczne. Kształtuje się nowy ustrój ekonomiczny, socjalny i polityczny. Zainteresowanie dla zagadnień etycznych i społecznych było olbrzymie. Kwestją, najsilniej zaprzątającą umysły, było pytanie, jak pogodzić egoistyczne interesy jednostki, które były podstawą nowego ładu gospodarczego z postulatami etyki oraz interesem całości społeczeństwa.

Mandeville, z zawodu lekarz i przyrodnik, krytyczny obserwator życia, a zarazem rzecznik nowego porządku zajął się analizą otaczającej go rzeczywistości społecznej i moralnej. Znany był jego jaskrawy aforyzm: prywatne występki są publicznem dobrodziejstwem. „Private Vices — Public Benefits". Paradoks ten, który jest rażąco szczerym wykładnikiem ideologji liberalizmu, znajdujemy w wierszowanym pamflecie p. t. „Bajka o pszczołach".

Rój pszczół, jego organizacja i tryb życia, był w ujęciu Mandeville'a satyryczną minjaturą ówczesnego społeczeństwa. Rozwijają się w pszczelnem środowisku nauki i sztuki, obok bogaczy wegetują nędzarze. Nie brak też oszustów i szalbierzy, ale również ci, którzy w oczach opinji byli uczciwi, zasługiwali na miano łajdaków. Słowem — nie było ani jednego zawodu, gdzie nie panowałoby oszustwo i kłamstwo. Adwokaci przeciągają procesy w nieskończoność, podsycając pieniactwo. Lekarze wypisują długie recepty w myśl zatajonego porozumienia z aptekarzami. Kler jest przewrotny i fanatyczny. Panuje powszechna hipokryzja, maskowanie żądzy bogactwa i pychy. Nawet powszechnie poważana sprawiedliwość wypuszczała nieraz z dłoni wagę, by przyjąć monetę. Mimo rozpowszechnienia się występków i upadku obyczajów, państwo pszczół rosło w potęgę. Współzawodnictwo, zazdrość, kłamstwo i oszustwo znakomicie służyły rozwojowi przemysłu i handlu. Aż razu pewnego — zapragnął rój cnotliwego żywota. Za zgodą bogów zapanowała w roju powszechna cnotliwość. Rychło ujawniły się srogie następstwa zmiany. Handel i przemysł pogrążyły się w zupełny zastój. W sądach zaległa głucha cisza. Tempo życia publicznego osłabło. Znikł popyt na przedmioty zbytku. Pojawiło się bezrobocie. Magazyny były przepełnione towarami. Znikł szał mody, balów, strojnych przyjęć. Wślad za tem upadł szereg gałęzi wytwórczości. Każdy ograniczał się i poprzestawał na małem.

Bajka zmierza do wyraźnego wniosku, że osiągnięcie dobrobytu materjalnego, potęgi i bogactwa przy równoczesnem unikaniu występków — jest utopją. Mandeville formułuje tu podstawową tezę liberalizmu, że dobrobyt społeczny jest wynikiem wolnej gry sił, że egoizm i współzawodnictwo są motorami rozwoju ekonomicznego.

Mandeville ukazuje w pierwszej części pamfletu egoizm ludzki i jego społeczne dobrodziejstwa, w drugiej zaś części — zdyscyplinowaną cnotę jednostki i ekonomiczne szkody, zastój, martwotę i brak inicjatywy. Rozwój, wielkość i bogactwo wymagają swobodnej ekspansji jednostki.

Pamflet Mandeville'a posiada podwójną wagę — dokumentu obyczajowego i ideowego. Wędrujemy z autorem po rozległym obszarze powszedniego życia już nie pszczół, ale ludzi. Przysłuchujemy się świetnie podchwyconym rozmowom w sklepach i na ulicy. Mandeville zdziera z ludzi maskę obłudy. Znajduje się w „Bajce" również wywód o korzyściach finansowych państwa ze sprzedaży alkoholu

*) *Edward Frauenglas:* Mandeville. Odbitka z „Kwartalnika Filozoficznego". Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

i o niezbędności prostytucji dla ochrony czystości ogniska domowego. Słowem — wielopłaszczyznowy przekrój nowej moralności mieszczańskiej.

Mandeville nie był ekonomistą. Niemniej jednak uchwycił najistotniejszy moment psychologiczny nowego porządku ekonomicznego, który wysunął na czoło nieskrępowaną inicjatywę i swobodne współzawodnictwo jako główne czynniki społecznego bogactwa. Djalektyczna interpretacja indywidualizmu stała się kopalnią argumentów dla obrońców gospodarczego liberalizmu.

Nie należy jednak zapominać, że ilekroć Mandeville mówi o „publicznych dobrodziejstwach" lub o bogactwie społeczeństwa, ma na myśli jedynie warstwę kupców, przemysłowców i przedsiębiorców. Jego poglądy są wyrazem interesów sfer posiadających. Biednym zaś rzeszom miast i wsi pozostawił błogosławieństwo ubóstwa i naiwności duchowej. Stworzył nawet dla nich swoistą filozofję szczęścia, opartego o minimum egzystencji i zupełną ciemnotę. Mandeville był przeciwnikiem oświecenia szerokich mas.

Walczy z hipokryzją, zakłamaniem kościelnych „szkół charytatywnych". Dobrze zorganizowane i bogate społeczeństwo — powiada — musi mieć pewną ilość nieoświeconych ludzi. To nie był paradoks. To była naga prawda dobrze zrozumianego interesu. Wiedza rozszerza nietylko ludzki horyzont myślowy, lecz powiększa również skalę potrzeb. Uświadomienie i wzrost potrzeb kolidują z interesem wytwórców, który wymaga ciężkiej pracy i nikłego wynagrodzenia. Ciemnota robotnika była w wytwórczej — i dodajmy od siebie — społecznej kalkulacji producenta pozycją wybitnie korzystną i dodatnią. Na Mandeville'a spadły za sformułowanie tych myśli gromy powszechnego oburzenia. Nic dziwnego: wygadał głośno prawdę i odsłonił starannie zatajone tajemnice ustroju.

Mandeville poddał ostrej krytyce tryb życia bogatego kleru i zajął w kwestjach wiary stanowisko nawskroś relatywistyczne. Wystarczy — powiada — zapytać o istotę religji w Pekinie, Konstantynopolu i Rzymie, by otrzymać trzy różne, biegunowo przeciwne odpowiedzi, pretendujące w równej mierze do monopolu prawdy i słuszności.

Jak więc widzimy, Mandeville w kwestjach religji „dla mas" nie był konsekwentny. W swej opozycji i krytyce religji nie docenił jej znaczenia, jako narzędzia panowania społecznego. Wolny umysł zwyciężył i zagłuszył tu oportunizm Mandeville'a, jako rzecznika interesów warstw posiadających.

Mandeville był jednym z tych myślicieli, którzy kładli podwaliny pod gmach indywidualistycznej kultury europejskiej z jej gospodarczym liberalizmem.

Należy wyrazić wdzięczność autorowi monografji, że podjął trud przypomnienia w dwóchsetną rocznicę — postaci Mandeville'a. Z zadania tego wywiązał się p. Frauenglas znakomicie. Monografja jest zwięzła, treściwa i przejrzyście zbudowana.

Ryszard Oborski

DZIAŁ ZESPOŁU LITERACKIEGO „PRZEDMIEŚCIE"

CELE „PRZEDMIEŚCIA"

Ażeby ukazać sens powstania Zespołu Literackiego „Przedmieście", wystarczy zastanowić się nad sensem każdego z wyrazów, tworzących tę nazwę. Pragnąc podkreślić realne i ważne różnice, zachodzące między „Przedmieściem", a większością zarówno umarłych już, jak i obecnie istniejących ugrupowań literackich, nazwaliśmy nasz organizm zbiorowy — *Zespołem.* Słowo to bardziej, niż *grupa* na suwa pojęcie współpracy nad dziełem zbiorowem, a „Przedmieście" jest próbą zbudowania takiego właśnie zbiorowego warsztatu pracy twórczej.

Od dawna daje się odczuwać potrzeba zaistnienia studjum literackiego, któreby drogą twórczej współpracy poszczególnych członków, umiało wywalczyć sobie chociażby podstawy metody obserwacji artystycznej. Wspaniały rozwój nauk przyrodniczych, psychologji, socjologji i t. p. czyni z literatury sztukę li tylko fantazjowania, czy zakłamywania, sztukę jakże daleką od prawdy życia! Coraz mniej poważne staje się wszystko, co mówi o życiu literat obdarzony t. zw. talentem i wystarczy chociaż pobieżnie zapoznać się z metodami obserwacji naukowej, by stwierdzić upokarzającą nieodpowiedzialność literatury wobec rzeczywistości życia, którego piewcą pragnie być olbrzymia większość literatów.

Dzisiejszej subjektywności literatury nie przeciwstawiamy jakowegoś pseudo-naukowego objektywizmu literackiego, mamy jednak głębokie przekonanie, iż przy największem poszanowaniu indywidualności i orginalności talentu, można twórczość artystyczną silniej związać z życiem. Można i trzeba. Literaturze polskiej bardziej, niż każdej innej brak wartości ogólnoludzkich, brak cech współczesności, brak odważnego spojrzenia w przyszłość, — wszystko to dać może literaturze lekcja życia, czyli wyzyskanie w całej pełni artystycznej obserwacji zdarzeń, środowisk i warunków dzisiejszej rzeczywistości.

Odchodzimy od biurka, zakładamy warsztat pracy „na ulicy", — kontemplację artystyczną w czterech ścianach pokoju zamieniamy na podróż pełną rzeczywistych zdarzeń. Nudzi nas wiekuista fikcja, — reflektor naszej uwagi, naszej obserwacji, naszego talentu kierujemy na dziko-dziewiczy, bujny i rozmaity świat *przedmieścia.*

Spotkaliśmy się przy tem słowie i stało się ono dla nas oceanem treści. Zapuszczamy się w naszą podróż po przedmieściach w wietrzną i chmurną niepogodę, kryjącą w sobie zapowiedź czasu przemian. Czyżby właśnie te z głębin rosnące pomruki i fale przedmieścia sprawiły, że oto my, na suchym brzegu jeszcze żyjący i ślepi dotychczas i głusi, dostrzegliśmy, usłyszeliśmy i zrozumieliśmy nietylko żywioł ów otaczający nas, ale i naszą doń przynależność? Oddalamy się od nadbrzeżnego śródmieścia i stajemy się dlań „widowiskiem literackiem", czyżby jedynie dlatego, że mamy na dnie przeczucia pewność, iż dłużej naszego „widowiska", niż widzów gapiących się w śródmieściu?... Innemi słowy, — czy barka nasza wydaje nam się być pewniejszą rzeczą, niż suchy ląd i czy istotnie tak bardzo wierzymy w jutrzejszy zalew śródmieścia przez przedmieście?

Pytania powyższe są zbyt istotne, by odpowiedzią

na nie mogło być coś innego, niż jakość naszej pracy artystycznej.

***

Doskonale zdajemy sobie sprawę, że sztuka, podobnie jak i nauka nie może być popularna, dlatego też bynajmniej nie zamierzamy tworzyć „literatury dla proletarjatu". W reportażach, opisach i utworach nowelistycznych o przedmieściu, wystrzegać się również będziemy wszelkiej tendencyjności wypływającej ze społeczno-politycznego nastawienia autora, natomiast starać się będziemy o zachowanie wrodzonej, że tak powiem, wymowy oglądanych przez nas zjawisk. Jeśli do tych dobrowolnie przyjętych na się obowiązków, dodać staranie o wyeliminowanie, o ile możności, elementów fantazji z procesu tworzenia i posiłkowanie się w pracy twórczej przedewszystkiem materjałem uzyskanym na podstawie bezpośredniej obserwacji terenu, otrzyma się wówczas w ogólnych zarysach, jakie takie pojęcie o metodach pracy zbiorowej naszego Zespołu, którego hasłem jest: możliwie najwyższa jakość artystyczna utworu i bezwzględna uczciwość twórcy.

Jerzy Kornacki

ŚPIĄCY TARG

— Teraz jak coraz więcej ludzi traci pracę, to każdy jeden łapie się za handel — ponuro mówi pani Urbańska.

Siedzimy obie na brzegu chodnika, przy zbiegu Grochowskiej i Krypskiej, nosami zwrócone do czekoladowego podmiejskiego parkanu, bo środkiem jezdni przejeżdżają od czasu do czasu wozy asenizacyjne, morowe powietrze przedmieścia. Jest około pół do drugiej w nocy, ani ciemno, ani jasno, bardzo ciepło, i w przerwach między temi wozami letnio i przyjemnie. Grochowska wygląda szeroko i dudnią po niej wozy na ranny targ, pełne i próżne, odrazu poznać po turkocie, bo w pełnych przeważa głuche dudnienie, a w pustych klaskanie kopyt po kocich łbach bruku. Ale te puste tak się przyzwyczaiły być pełne, że pomimo swej czczości wybrzuszają się wygiętemi deskami den ku ziemi, jak spłaszczone wymiona zakończone żółtem światłem latarni, wlokącem się nisko nad brukiem. I tak ciągną, nieporadne, napół śpiące, długo klekocąc i brzęcząc jakiemś żelastwem. Pomimo to zupełnie osobno słychać ptaka, który zaczyna w podmiejskim ogródku za płotem odzywać się porannie, cicho i cienko, wciąż na tę samą nutę, i w równych odstępach.

Rozmawiamy. Pani Urbańska także „złapała się za handel" odkąd stracili z mężem pracę, i ma budkę z wodą i warzywami przy przystanku na żądanie. Właśnie jedzie na Grójecką, na koniec świata; kupi tam marchew po siedem groszy pęczek, a tu będzie sprzedawała po piętnaście, jak kto da... Ma ze sobą koszyk z pustemi workami, i tak czekamy na furmankę z Krypskiej, — a ten bestja Kowalski to nierówno przyjeżdża, raz tak, a raz tak, a już powinien tu być...

Czekamy, nasłuchujemy. Przechodzi policjant:

— A cóżeście się tak rozsiadły pod płotem?

Pytanie jest czysto retoryczne. A gdzież mamy się rozsiąść, może na jezdni? — wzrusza ramionami pani Urbańska, i „władza" oddala się, nie wyjaśniając bliżej tej rzeczy.

Czekamy, czekamy. Słychać cienki, boczny turkot, zagarnięty zrazu, wchłonięty przez przemożne, niskie dudnienie po Grochowskiej, a potem już wyraźnie wydzielony z Krypskiej. Jadą?

Z przejrzystych mroków przylegających jeszcze do parkanów śpiącej uliczki, wyłania się morda konia, wóz najeżony ludźmi, koszami... nie, to jeszcze nie oni. Ale znajomi. Na Grochowie wszyscy się znają, aż po Pragę.

Klekocący wóz skręca na Grochowską. Ktoś na nim śpi, ktoś woła wesoło:

Jazda z nami! Bo się spóźnicie!

Pani Urbańska odkrzykuje: — Ja muszę czekać na Stasia, na mego najdroższego!

Śmiechy, skrzypienie, turkot. Wszystko znika. Znowu czekamy.

— Co on tak dziś zaspał, cholera, czy co?

Ciężko, majestatycznie przejechał, przedudnił olbrzymi „Rybkol" z rogu Alei i Nowego Światu. Fury ze słomą ciągną teraz na Pragę, ogromne jak sterty, a na każdej ktoś śpi. Konie przy nich małe, jak koty, ledwie się ruszają . Też jakby spały nieodpartym snem poranka. Bo króciutka, przejrzysta noc rozjaśnia się już nieznacznie w łagodną, bezsłoneczną, matową jasność niewiadomo skąd się biorącą.

— Cholera — mówi znowu pani Urbańska — rozbiorą mi wszystek „owoc"...

I właśnie wtedy, zupełnie nagle, nadlatuje oczekiwany wóz, roztrajkotany, śpieszący, rozklekotany, rozgadany od wzajemnych wymówek, że już tak późno... że trzeba jeszcze Mikulskiego obudzić, do okna zapukać, kosze od niego wziąć, że to Szrajerowa winna, bo miała całą noc worki łatać, i zaspała, i nie pobudziła, że nocny stróż miał obudzić i nie obudził...

— Jazda, jazda. Aby przed dzwonkiem. Poganiajcie!

Resztki mroków rozpływają się, przejrzyścieją ostatecznie w świat całkiem już jasny, wysoki, pusty, daleko i rozgłośnie dzwoniący turkotem. Za Czerwoną Drogą, na szerokiem błoniu biała mgła chłodna i świeża leży namacalnie, jak mokra wata na trawie. W tej mgle pasą się konie. Skaryszewski park, wypoczęty i świeży, wydycha pachnącą, mokrą od rosy noc. Aleja rozstąpiła się szeroko szeregami drzew, pusta, czysta, jakby wymieciona na przyjęcie pogody...

Tylko śródmieście nie bierze w tem udziału duszne, zacieśnione, zaśmiecone miejską rozgrzaną tłumną nocą, oślepłe od pozasłanianych okien. A w Alejach Jerozolimskich sznur śpiących wozów rozwija się w cały splot wozów, a splot wozow zagęszcza się jeszcze od taksówek, dorożek, wózków ręcznych... do tego dołączają się tłumy ludzi z workami w ręku, i jest tak, jakby cały świat wędrował z workiem na Grójecką... przecież wozy z marchwią czekają już przed targowiskiem od dziewiątej wieczorem!

Tłum pieszych z workami zalega przed zamkniętą furtką, czekając dzwonka. Wozy wjeżdżają przez dalszą bramę nie czekając dzwonka, i zalewają wielki plac, tak, że gdyby nie wolne miejsca pozostawione na przejście, możnaby po nich obejść całe targowisko, jak po ziemi. Osobno puste, osobno pełne, ślicznie załadowane furgony, kolorowe, pasami seledynowe od kapusty, czy od zwróconych bielą do środka kalafiorów, pomarańczowe od marchwi, przeświecające amarantem buraków przez dosłownie „ziemską" powłokę, gdzieniegdzie ustrojone na wierzchołku pękiem czerwonych goździków, poetycznej. ruty czy „marony"...

To tylko na dodatek. Bo tu odchodzi hurt na całą Warszawę. Hurt, to nie koniecznie cały wóz. Hurt — to może też być mendel kalafiorów. Mendel pęczków marchwi. Kopa ogórków. Do budki na Opaczewską, na Mińską, na Rybną, do straganu na Wronią, do koszyka na Zolibórz.

Teraz widać przywilej tych, co przyjechali, a nie przyszli. Bo tamci jeszcze stoją tłumnie za zamkniętą furtką, w oczekiwaniu dzwonka, a ci już przed dzwonkiem zeskakują z pustych wozów, i z workami, z koszami, z łubiankami nurkują, jak w lesie, wśród zieleni pełnych. Na ich miejsce podnoszą się z opustoszałych den śpiące dotąd osoby, przeważnie dzieci i, ziewające, skulone, opatulone zaciepło na ten letni ranek, sterczą osowiałe od snu, wypełniając właściwe swe zadanie, dla którego tu przybyły: pilnują, żeby kto nie ukradł...

Tymczasem z wysokości pełnych fur spadają w nastawione kosze i worki pęczki marchwi, buraków, głowy kapusty, kalafiorów. Ostro pachną poruszone góry selerów. Wszystko zapłacone zgóry, ustalonym zwyczajem. Głosy liczą głośno: raz, dwa, trzy... czternaście, piętnaście... Dwadzieścia raz, dwadzieścia dwa...

I dopiero teraz, kiedy się tyle rzeczy zdążyło nadziać, rozlega się dzwonek przy furtce, i tłum pieszych wlewa się we wszelkie niewidoczne dotąd nieszczelności pomiędzy ludźmi, wozami i końmi. Robi się rejwach, wrzask, gwałt — ale tylko tyle, ile koniecznie potrzeba. Dla „fasonu". Zupełnie nie tak jak na dziennym targu w halach. Bo przecież jednak tu są wszyscy niewyspani. Całe życie.

„Hurt" się rozdrabnia. Żydówka siedzi na kamieniu, wśród pysków, kopyt, kół . Łuszczy „bober", żeby miała lżej nieść. Jak sprzeda oba worki, to zarobi złotówkę. Ale czy sprzeda?

Pani Urbańska nurkuje za „owocem", ale owocu niema. Nie przywieźli. Więc ryzykuje na piętnaście sztuk kalafiorów. Może w budce kupią? A możeby kupili ogórków? A może to, a może tamto? Na niedzielę?

Z wozów nawołują: Co pani uważa? Czy pan nie wie, że „ranek to panek"? Kto rano nie kupi, później chodzi głupi...

Oto świat, dla którego rano, to jest pół do czwartej, a pół do piątej to już jest „później". Za cenę nocy — i za inną jeszcze — bezrobotni „łapią się za handel"...

A przy tych, co się już „złapali", inni jeszcze... Oto wystarczy wziąć w komis dwie butelki kwasu, czy wody sodowej, i wykrzykiwać raz za razem specjalnie stabilizowanym głosem:

— Woda z gazem zimna. Woda z gazem zimna.

Więcej nawet: wystarczy ugotować duże pierogi, ułożyć je w koszu wysłanym papierem: dwa z mięsem i serem za piętnaście groszy. Albo z jagodami, przeświecającemi czarniawo przez blade ciasto. Albo znowu bułki, placki z serem. Ryby smażone. Pączki cukrowe, arakowe, nadziewane. Przekupnie snują się, powtarzają swoje, ani na włos nie zmieniając intonacji głosu. Nikt nie kupuje.

Młody Żyd, tulmudyczny, chudy i blady, w czarnych okularach, biega jak szalony po targu, na nikogo nie patrząc i powtarzając, jak we śnie głosem ochrypłym z żarliwości, tak, jakby mu nie tyle chodziło o sprzedanie bułek, ile o wypełnienie jakiejś misji:

— Dobre świeże po dziesięć groszy, po pięć. Dobre świeże.

Nie widać, żeby kto kupował jedzenie. Jedni zrzucają z wozów, inni ładują na wozy. Robi się „później". Słońce wisi już nad domami Opaczewskiej, czerwone jeszcze, a już gorące. Gołębie wzbiły się stadami, połyskliwe i śliczne na błękicie, który z bladego już zrobił się ciemny, głęboki i wilgotny. Lecą, lecą, potem na chwilę wsiąkają w ten błękit, i przewracają się na drugą stronę...

A kiedy odlecą dalej, niebieskie pole pozostaje po nich niedostateczne, puste i nudne, jakby mu czegoś brakowało. Więc wracają — te same? czy już inne?

Tymczasem w dole, pod tym całym kloszem, zrobionym z gorąca, lśnienia i pogody, targ słabnie i zamiera. Coraz to ktoś prosi sąsiada, żeby mu popilnował „towaru", a sam wymyka się do „Baru pod 102". Tu odkorkowuje małą flaszkę wyborowej czystej, tradycyjnie uderzając dłonią w dno, zagryza jajkiem na twardo, rzucając skorupy dokoła kosza na skorupy i znowu wraca na wygasający targ, skąd wozy odjeżdżają jeden za drugim: te pełne — prawie puste, i te puste — prawie pełne. Gorące słońce wypiło do cna wszelką świeżość ranka, skwar ciężki od niewyspania stanął nad opustoszałem targowiskiem, zasypanem szybko popielejącem w upale, zwiędłem zielskiem, — pierwsze czerwone tramwaje leniwie opełzły pętlę, uwożąc ku miastu spoconych, zmęczonych ludzi z koszami.

Pani Urbańska „towar" złożyła na furmankę i sama wsiada do tramwaju tylko z dwoma pęczkami pachnącego majeranku. Musi się śpieszyć, bo furmanka nie wiele później nadjedzie od tramwaju, a ona ma jeszcze coś załatwić w domu. Przytem tak się złożyło, że ten cały Kowalski ze swoim wozem ma przeprowadzkę z Grochowskiej na Żelazną. Więc ona się z nim „zabierze" przed południem na ten wóz z gratami, wysiądzie w halach, kupi czereśni „łubianek ze dwie", bo tu nie dostała „owocu", a jak on będzie wracał z Żelaznej, to zabierze ją napowrót z koszem...

— A dlaczego nie pojedzie pani tramwajem? Tak się tłuc furmanką po mieście całą noc i cały dzień?...

Zmęczona pani Urbańska ociera pot z czoła, ale śmieje się białemi zębami. Jest miła i młoda.

— A w tramwaju dwadzieścia pięć groszy za kosz płacić? Zanim zajechała na swój Grochów, nakarmiła dziecko, doczekała się furmanki, rozpakowała i rozłożyła w budce „towar", inne konkurencyjne wózki z warzywami rozlazły się już po przedmieściu. Wołały:

— Do sałaty, do kapusty, do ogórki.

A o kalafiorach mówiły tak:

— Do kalafiory karliki ładne duże białe. Do kalafiory karliki, do kalafiory karliki.

Kowalski nadjeżdżał zwolna swoją naładowaną gratami furą.

Helena Boguszewska

W najbliższym n-rze EPOKI w dziale Zespołu Literackiego „Przedmieście" zamieścimy utwór Zofji Nałkowskiej.

1933 — 1937

Nowojorskie czasopismo „Nation" zamieściło artykuł p. t. „Antycypacja historji", zaprawiony mieszaniną powagi, humoru i ironji:

Październik 1933. Prasa sygnalizuje odrodzenie ducha inicjatywy w Rzeszy. Kapitały, nieobarczone tam ciężarami socjalnemi, znalazły rozległe pole aktywności. Kanclerz zachowuje postawę prawdziwego męża stanu. Bojujący antysemityzm znajduje się w odwrocie. Znaczny odłam Żydów — przemysłowców widzi w Hitlerze zbawcę Europy środkowej, zagrożonej widmem bolszewizmu.

Listopad 1933. Prezydent Nicola Murray Butler, profesor Uniwersytetu Columbia, otrzymał zaproszenie od Hitlera. Wielki uczony, laureat nagrody Nobla, przedłożył kanclerzowi Rzeszy nowy plan pokoju i był zachwycony żywą sympatją, jaką okazał Führer dla jego projektu. Dla zrozumiałych względów dyplomatycznych prof. Butler nie uczynił żadnej aluzji do sytuacji swoich przyjaciół — ludzi wiedzy, uwięzionych w obozach koncentracyjnych Rzeszy, ponieważ uważał za niestosowne wtrącanie się do spraw wewnętrznych obcego kraju.

Marzec 1934. Dzienniki donoszą o pojawieniu się książki, napisanej przez sześciu wielkich socjologów amerykańskich, zatytułowanej „Nowe państwo korporacyjne Niemiec". Autorowie dowodzą, że Rzesza wkroczyła na drogę nowej demokracji dzięki syntezie idei Hegla, Gierkiego i Spana, dokonanej przez Hitlera i jego przyjaciół.

Wrzesień 1934. Papież zawarł drugi konkordat z Rzeszą. Ojciec Święty nakazał wszystkim katolikom żywy udział w dziele narodowej wspólnoty niemieckiej, budowanej w duchu zgody i miłości. Niektóre pisma zagraniczne omawiają w złej wierze powyższe wydarzenia, opatrując je komentarzem „Bóg znowu staje po stronie silniejszego".

Listopad 1935. Żywe zainteresowanie powszechne wywołała sensacyjna mowa Hitlera o równouprawnieniu Żydów. Führer przestrzega swoich stronników przed zbyt radykalnym antysemityzmem. Obecnie, gdy wygnano już elementy obcorasowe z administracji państwowej i uniwersytetów „przyszedł czas na rozróżnienie Żydów patrjotów i Żydów marxistów". W interesie samych Niemiec Führer zaleca tolerancję w stosunku do pierwszych.

Czerwiec 1936. Emil Ludwig przedsięwziął pierwszą od roku 1932 podróż do Niemiec. W książce, zatytułowanej „Moje rozmowy z Hitlerem", omawia polityczne, religijne i filozoficzne poglądy męża stanu, zbyt długo zapoznanego przez „histeryczną opinję".

Wrzesień 1936. Dwie trzecie obozów koncentracyjnych zlikwidowano z uwagi na zbiorową śmierć opornych komunistów i nawrócenie elementów, które zrozumiały ducha nowych Niemiec. „Niestety! — oświadczył minister propagandy — kilka obozów musimy zachować dla nowych przestępców, którzy przeszkadzają w dziele oczyszczenia państwa korporacyjnego. Zazdrościć należy Włochom, którym niepotrzebne są obozy koncentracyjne, gdyż posiadają dla tych celów wyspy Liparyjskie. Przyczyną wewnętrznych niepokojów w Rzeszy jest tedy pozbawienie jej kolonij.

Styczeń 1937. Kilka wielkich mocarstw Ligi Narodów pod przewodnictwem Ramsay Mac Donalda, utrzymujących zażyłe stosunki z Rzeszą, żąda powrotu kolonji do Niemiec. Byłaby to wielka usługa, wyświadczona dziełu światowego pokoju i międzynarodowej współpracy.

Wszystkie państwa Europy zwiększają zbrojenia, podczas gdy ich sytuacja wewnętrzna staje się coraz bardziej naprężona. Dyktatury znalazły się przed alternatywą powszechnej rewolucji lub wojny. Łatwo domyśleć się wyboru.



PRZEGLĄD POLITYCZNY

W *Vossische Zeitung* ukazał się d. 23 lipca artykuł p. t. „Wielkie przegrupowanie. Rzut oka na świat".

Artykuł, jak na dzisiejsze stosunki niemieckie zupełnie niezwykły, bo usiłujący spojrzeć prawdzie w oczy. Dla każdego Niemca myślącego artykuł ten powinien był być błyskawicą, oświetlającą czarny shitleryzowany horyzont chociaż autor nie uczynił żadnych uogólnień, nie wyciągnął żadnych wniosków z podanych objektywnie, bijących wprost w oczy faktów, uniknął wszelkich zestawień sytuacji teraźniejszej Niemiec na terenie międzynarodowym ze stanem rzeczy poprzednim.

Streszczenie krótkie tych wywodów uwypukli, o co w danym razie chodzi.

A więc, stwierdza przedewszystkiem publicysta *Vossische Zeitung* załamanie się Stanów Zjednoczonych, ich ucieczkę od Europy, od europejskich celów gospodarczych — i podkreśla, że wysiłek wielkiej republiki ograniczony do kontynentu Ameryki ma na celu nietylko znalezienie pracy dla miljonów, ale i stworzenie potęgi sięgającej — i na Atlantyku i na Pacyfiku.

Fakt drugi, na który zwraca uwagę *Vossische Zeitung* — to sytuacja W. Brytanji, która ze względu na swoje osobliwe położenie na świecie nie może tak spokojnie, jak Francja i Włochy, znieść eksodusu Ameryki Północnej z Europy, a więc ciągnie się za Stanami Zjednoczonemi, gotowa zawsze do takiego lub innego porozumienia ze swą siostrzycą angielską o podział panowania na morzach. Z drugiej strony Anglja nie może tak, jak Ameryka, wycofać się całkowicie z Europy, przeciwnie — musi dbać w swoich interesach o pokój na kontynencie i stąd jej bliski i dobry stosunek do Francji, która stoi na straży tego pokoju, i bezpieczeństwa. Niedość tego, zjawił się ponownie w Europie partner, któremu zależy na bezpieczeństwie — jest nim Rosja Sowiecka.

Zależy jej także ze względu na Japonję na dobrych stosunkach ze Stanami Zjednoczonemi i pod tym względem interesy tych dwu państw, a także W. Brytanji i Francji zbiegają się.

Oto główne myśli (pomijam drobiazgowe wywody o roli Italji, Małej Ententy, Polski w tej sytuacji). A oto wniosek, który wypływa sam, a którego autor nie domówił, bo domówić nie mógł: *całkowita izolacja Niemiec* w konfiguracji wszechświatowej stosunków międzynarodowych.

W cytowanym artykule tylko głucho i cierpko powiedziano:

— Niezwykle zapracowani są dyplomaci w ostatnich tygodniach i niezwykle szybko zmienił się obraz polityczny całego świata od czasu otwarcia konferencji londyńskiej. Jeżeli rozwój wydarzeń pójdzie nadal w tem samem tempie, to nowy system sił ukaże się przed nami w najbliższym czasie w całej okazałości".

Jeden jest tylko świadomy błąd dopuszczony w tem przejrzystem rozumowaniu: autor liczy „erę" od konferencji londyńskiej, chcąc tym systemem liczenia jakgdyby na tę konferencję zwalić odpowiedzialność za nowe ugrupowanie sił na świecie. W rzeczywistości zaś konferencja ta częściowo tylko wpłynęła na krystalizację tego nowego układu i to wyłącznie w dziedzinie stosunku ryczałtowego Ameryki do Europy. Natomiast krystalizacja innych objawów tego systemu, bierze początek z innego źródła: z rządów Hitlera w Niemczech.

One to czynią Niemcy czynnikiem po za nawiasem rachunków państw i narodów kulturalnych, one to przyśpieszyły w czasie konferencji londyńskiej (po słynnym memorjale Hugenberga) słynne pakty o określenie napastnika, serję umów na wschodzie i nadewszystko atmosferę zbliżenia pomiędzy Polską a Rosją. O tem wspomniany artykuł wspomina tylko ubocznie, ale natomiast cała niemal prasa niemiecka pisze o tem ze źle tajoną złością nieraz dwa razy dziennie.

Tak... stało się... Nie ma Rzesza Niemiecka w swoim obecnym stanie żadnego przyjaciela, ani z sentymentu, ani z wyrachowania, na świecie. Sen o potędze mocarstwowej rasowych Niemiec kończy się bardzo szybko. Jedynymi przyjaciółmi obecnego Berlina zostają różni sympatycy, porozrzucani po różnych krajach, którzy cierpią na *hitlerosis acuta*.

Tak, zarówno jak urzędowe Niemcy, doprowadza do drgawek spokojny i życzliwy stan stosunków pomiędzy Polską, powstałą do życia z wielkiego dziejowego huraganu, a nową Rosją, budującą swoje życie po wielkim przewrocie rewolucyjnym.

Nikt w Europie po za czynnikami reakcji, dążącej do przywrócenia stosunków społecznych z przed wojny, nie jest zainteresowany w ugruntowaniu się Niemiec hitlerowskich. Zawisają więc one samotnie w układzie ogólnym, tracąc powoli nawet tak blisko, zdawałoby się, złączonego ideowo sojusznika, jak faszyzm włoski.

W jednym szeregu z Hitlerją chce utrzymać się Watykan, rojąc jakieś sny o władztwie dusz. Po wieczne czasy zostanie w pamięci list arcybiskupa kardynała Bertrama, napisany po zawarciu konkordatu, a zawierający takie pochlebstwa i hołdy dla Hitlera, jaki, zdaje się, nawet carat rzadko otrzymywał od swojego własnego kościoła prawosławnego.

Odosobnienie, albo conajwyżej słodkie sam na sam z Watykanem — nazewnątrz, a zaostrzenie walk na wewnątrz — oto wyraźne objawy rozwoju sytuacji w Niemczech w ostatnich tygodniach. Rzecz naturalna, zjawiska te pociągają za sobą zwykłe konsekwencje: rozrost aparatu represji, zaostrzenie metod gwałtu. Zjawia się kara śmierci jako jedyny środek, który ma ocalić i skonsolidować oparty na kłamstwie i bez prawiu ustrój.

Środki te nie uratują przecież malejącego wywozu z Niemiec, a spadającej linji stanu zatrudnienia (przy „oficjalnem" zmniejszeniu się bezrobocia) nie podniosą do góry.

Niektóre środki, stosowane przez władzę hitlerowską przypominają jakieś gusła średniowieczne, albo z epoki kamienia łupanego.

Np., aby stworzyć nowy stan umysłowości, wprowadza się na wydziałach prawnych uniwersytetu następujące wykłady: rozwój historyczny i istota nacjonal-socjalizmu, organizacja i treść oddziałów szturmowych, sprawa rasowa, naród i wojsko, i t. p. Panom, którzy napisali ten programik, wydaje się, że mądrze i chytrze zastosowali do swoich potrzeb doświadczenie propagandy sowieckiej.

Nie chcą pamiętać o tem, że tam działano po rewolucji wśród nowego materjału ludzkiego, na którym oparto ustrój i władzę.

Tutaj, przeciwnie, ten materjał ludzki, który szedł za maksymalizmem haseł społecznych partji nacjonal-socjalistycznej, już czuje się oszukany i odepchnięty i żaden wykład o „organizacji i naturze szturmowców" na uniwersytecie dla burszów, rozbijających sklepy żydowskie, nie umocni fundamentów ustroju.

St. Gr.



LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o gościnę na łamach „Epoki". Sprawa pozornie błaha, a jednak nie bez znaczenia — moralnego i społecznego.

Urządza się w Warszawie mnóstwo zabaw, festiwalów z pokazami mody, urody, pyjam, bielizny, gwiazd, pół i ćwierć gwiazd, zapowiada się te zabawy krzykliwemi reklamami. Na afiszach i we wzmiankach — nadzwyczajne atrakcje, udział dziesiątków znakomitości, sensacyjne pomysły, programy „monstre", zdjęcia filmowe, cuda pirotechniki, konkursy i t. d. A w rzeczywistości? Mówiąc niegrzecznie — poprostu bujda, nabieranie, granda. Trzy czwarte zapowiadanych aktorek i aktorów nie zjawia się wcale. Atrakcje — w dziesiątej części. Niedawno na hucznie reklamowanym festiwalu miała być „noc w płomieniach", a puszczono dwa mizerne fajewerki. Miały być zdjęcia filmowe, nie było. Szereg artystów nie zjawiło się. Nie rozpaczałem z tego powodu. Ale to jest irytująca nierzetelność, której należy położyć kres. Podziwiać też należy potulność naszej publiczności, która tak pokornie daje się nabierać. Nigdzie zagranicą nie pozwolonoby na tego rodzaju „figle". Mają tam ludzie mocniejszy i w tym wypadku pożyteczniejszy temperament. Ładnieby tam wyglądali tego typu przedsiębiorcy. A u nas? Już nabrali dziesiątki razy i nadal grasują bezkarnie. Skoro się bierze pieniądze, to trzeba ludziom dać to, co się obiecywało. To chyba elementarny nakaz uczciwości, tak często u nas niespełniany.

Możeby jednak prasa zdobyła się na skarcenie tej nieuczciwości? Skoro publiczność nie potrafi reagować, jak należy — przez protest i bojkot, niech reaguje prasa .

Warszawa. *Mieczysław Zalewski*

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.:

Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, Stanisław Małachowski-Łempicki, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, N. Samotyhowa, Jerzy Stempowski, Anatol Stern, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, Elżbieta Szemplińska, dr. Mieczysław Szerer, Leon Wasilewski, Józef Wasowski, Jan Waśniewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin i Roman Zrębowicz.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 499 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.